ROZMAITOŚCI.

Dnia 13. Czerwca. **№ 24.** **Roku 1855.**

SPUŚCIZNA.

Z powieści genewskich R. Toepffera.

(Z francuskiego.)

(Dalszy ciąg. Ob. N. 23. Rozmaitości.)

II.

Jeźli pamiętasz, czytelniku, nudziliśmy się porządnie w ostatniéj rozmowie naszéj. Tyś ziéwał na piękne, a ja poszedłem do miasta na obiad.

Było-to u jednego z mych przyjaciół, żonatego, ojca familii, któremu możnaby pozazdrościć szczęścia i wesołości. On i młoda jego małżonka obsypywali się pieszczotami, rzucali na siebie spojźrzenia pełne czułości, a z każdéj najdrobniejszéj przysługi, z tysiąca rzeczy na pozór obojętnych, mogłem się przekonać jak ścisły związek łączył ich serca. Jedno lubiło te same potrawy, co i drugie; oboje pili z jednéj szklanki; skórkę z chleba, którę jedno zostawiło umyślnie, chwytało drugie ukradkiem i zjadało; i tak oboje, zajęci wzajemną miłością, rozmawiali ze mną tylko dla formy, jak z figurą niezbędnie potrzebną do ożywiania ich niewinnych i miłosnych żartów.

Nudziłem się téż wyśmienicie, a to tém bardziéj, że na złość sobie samemu, w brew mojéj woli i pomimo rozsądnych uwag, które w duchu sobie robiłem. „Bądź przecież roztropnym“ — mówiłem sam do siebie — „i ciesz się tym miłym widokiem; korzystaj z dobrego przykładu i postaraj się także o taki związek słodki i powabny, o takie szczęście, które zawisło od ciebie samego. Miéj rozum“.... — „Hola, mości panie — odpowiadałem temu szanownemu głosowi — miéj rozum, i milcz proszę. Tyś podobny do mego ojca chrzestnego. To mój wujaszek podaje ci takie rady. Bądź łaskaw, i dozwól mi zjeść spokojnie ten kotlet; to jest w téj chwili jedyna moja rozkosz, jedyne moje życzenie.“

Można rzec śmiało co do tych napomnień wewnętrznych, że dźwięk głosu, że wyraz, jaki nadaje im nasza wyobraźnia, osłabiają najbardziéj dobroczynny ich skutek. Przez bardzo długi czas niemogłem rozróżnić głosu mego sumienia od głosu mego nauczyciela; ile razy sumienie odezwało się do mnie, zdawało mi się, że widzę je w czarnym surducie, z powagą nauczycielską, z oku-

larami na nosie. Myślałem sobie, że prawi ze zwyczaju, że to jego rzemiosło, że mu płacą za to. Dla tego téż. gdy zaczynało mi przyganiać, opiérałem mu się natychmiast na pozór z wielkiém uszanowaniem, ale w istocie w sposób najzuchwalszy, pragnąc koniecznie pozbyć się téj zawisłości, i z ambicyi robiąc zawsze inaczéj, niż mi radziło. Wpadłem ztąd na pomysł, który myślę zastosować kiedyś w życiu. Postaram się dla moich dzieci o nauczyciela ile możności jak najłagodniejszego, pełnego naturalnéj dobroci, wolnego od wszelkiéj pedanteryi i przesady, ażeby w czasie, gdy sumienie ich wystąpi w postaci tego szanownego mistrza, znalazło u nich większy wpływ i uszanowanie. Szkoda tylko, że obok tak pięknych pojęć o wychowaniu moich dzieci, jestem tak mało usposobiony do małżeństwa.

Jadłem tedy mój kotlet. Gdym skończył i głód mój już przeminął, oczekiwałem z niecierpliwością końca téj uczty, którą szczęśliwi gospodarze przydłużali ile możności, tak na rękę dla mnie, żem prawie umiérał z nudów. Jakaż-to zgodność w ich apetytach! — myślałem sobie — a nadewszystko co za apetyt! Czy podobna jeść tyle, kiedy się kocha! Takiż-to skutek miłości małżeńskiéj! O, jakaż różnica między nią a ową miłością namiętną, któréj urokiem szał gorączkowy, która żyje myślami tylko, karmi się własnym płomieniem! A ty myślałeś Edwardzie (jest-to moje imię chrzestne), ty myślałeś....

— „Pan taki zamyślony“ — zagadnęła mię w téj chwili uprzejma małżonką mego przyjaciela: — „Co panu brakuje?“

— „Smuci się“, — odrzekł za mnie jéj mąż — „jak zwykle starzy kawalerowie. Ale prawda, jakże idzie twoja miłość, Edwardzie?“

— „Moja miłość“ — odrzekłem — „niepostąpiła jeszcze tak daleko jak twoja.“

— „Do licha! tak mi się zdaje.“

— „I mnie także.“

Niewiem, jak mi się wymknęła ta niegrzeczna odpowiedź. Mój przyjaciel zamilkł, żona jego zaczęła mówić o czém inném, a ja zawstydzony i zły sam na siebie robiłem gałki z chleba i żałowałem, żem niezostał na obiedzie w domu, gdzie byłbym nikogo nieobraził. Wkrótce téż, jak tylko przyzwoitość zezwoliła na to, pożegnałem ich i pośpieszyłem do domu.

Na kominku płonął żywy ogień; usiadłem i wyjąłem moje piórko do zębów. Prócz pogadanki nieznam lepszego środka na zabicie czasu, jak piórko do zębów. Bez niego nastaje ów długi, nudny przedział między obiadem i towarzystwem wieczorném, z którym niewiedziałbym istotnie, co począć. Zresztą jest-to rodzaj przyjemnéj rozrywki, którą łatwiéj czuć, niż opisać można.

Dnia tego, o którym mówię, bawiąc się w ten sposób myślałem o moim przyjacielu, ojcu familii. Przypominałem sobie wyraz jego twarzy, głos jakim mówił, treść jego pytania, i prawie cieszyłem się tą rubaszną odpowiedzią, która mi się wyrwała. Po prawdzie bowiem zachodzi jakiś rodzaj tajemnéj niechęci

między młodymi małżonkami a starymi kawalerami, przynajmniéj niemoże nigdy istnieć pomiędzy nimi zupełna i szczéra sympatya. Młodzi małżonkowie żałują starych kawalerów, ale ich politowanie równa się prawie szyderstwu. Starzy kawalerowie podziwiają młode małżeństwo, ale ich podziwienie zakrawa wielce na ironię. Dla tego też przyznałem sobie wkońcu, żem słusznie zrobił ucinając tak krótko niedorzeczną ich paplaninę, a jeźli odpowiedź moja była może zanadto uszczypliwa, miałem do tego prawo, mianowicie prawo słabszego, gdyż byłem sam jeden przeciw dwom.

— „Panie....“

— „Czego chcesz?“

— „Ach! panie!...“

— „No cóż takiego?“

— „Pali się!“

— „Mniejsza o to.“

— „Cztery domy, panie!“

— „I gdzież to?“

— „Na przedmieściu.“

— „Przynieś mi ciepłéj wody do golenia.“

— „Pan chce....“

— „Ogolić się.“

— „Czy słyszysz pan tę wrzawę?“

— „I cóż z tego?“

— „Mamże koniecznie przynieść ciepłéj wody?“

— „A jużcić, błaźnie. Czyż chcesz, bym się niegolił dla tego, że biją na gwałt?“

— Piękna-to rzecz jednak, te asekuracye — myślałem sobie zdejmując krawatkę; ludzie ci mogą stać spokojnie i przypatrywać się z założonemi rękoma, jak ogień pożéra ich domy. Czysty zysk; za stare chałupy postawią im nowe domy. Cokolwiek niewygody, to prawda; ale cóż to znaczy w porównaniu z czém inném. Z tém wszystkiém wielkie to szczęście dla zakładów asekuracyjnych, że wiatr nie jest zbyt silny.

— „I cóż, przyniosłeś mi wodę?“

— „Oto jest!...“

— „Ty drzysz, jak widzę.“

— „Ach! panie.... sześć domów... całe w płomieniach... obawiają się już o nową dzielnicę.... a moja matka mieszka tak blizko!...“

— „Alboż ty niewiesz, że prócz wszelkiego ratunku, na którym nigdy niezbywa, są wszystkie domy te zabezpieczone?“

— „Wiem, panie; ale moja matka ma tylko trochę rupieci. Gdyby mi pan pozwolił....“

— „Pójść tam? — mogę cię co chwila potrzebować. Ale idź, dowiedz się, jak rzeczy stoją, a z powrotem kup mi kolońskiéj wody.“

Zacząłem się tedy golić, a to z tém większém zajęciem, żem próbował mydło świéżo wynalezione. Piana jego zdawała mi się być równie obfita i miękka, jak woń przyjemna i delikatna; tylko woda niebyła dość ciepła, co mię tak gniéwało, żem prawie złorzeczył pożarowi, który był przyczyną tego. Tymczasem biły na gwałt wszystkie dzwony miasta, złowieszcze krzyki rozlegały się po sąsiednich ulicach i tłumy ludzi cisnęły się do poblizkiéj szopy naprzeciw moich okien, gdzie były złożone wiadra miejskie. Na ten hałas zbliżyłem się do okna pełen

ciekawości, jaką obudzają zwykle podobne zgiełkliwe sceny. Noc była tak ciemna, żem niemógł dojźrzéć ludzi, ale na niebie ujźrzałem czerwoną łunę, na któréj tle rysowały się czarne jak węgiel dachy i kominy domów. Tu i owdzie padał blask aż na wieżę katedralną, z któréj szczytu dolatywał mię ponury jęk dzwonów wnet głośniéj, wnet ciszéj, w miarę tego, czy serce uderzało z mojéj strony czy téż od strony widokręgu. To wspaniały widok! — rzekłem do siebie i wróciłem do zwierciadła kończyć zaczętą robotę.

Broda moja była długa i trudna do golenia, mianowicie dla małego napół świéżego jeszcze szramu na krawędzi podbródka, który wymagał największéj ostrożności; a przytem musiałem od czasu do czasu śledzić daléj czerwoną łunę, która stawała się coraz szerszą i jaskrawszą. Już wzlatywały w powietrze liczne snopy iskier i spadały potem zwolna z całym urokiem i blaskiem sztucznego ognia. Nakoniec, pomyślałem, musi to być bardzo piękny widok; mam wielką chęć zajźrzéć tam w przechodzie do kasyna. Pośpieszyłem się tedy z ukończeniem méj toalety, zarzuciłem płaszcz i przywdziawszy białe rękawiczki udałem się w kierunku przedmieścia. W ulicach niebyło ani żywéj duszy; wszystkie sklepy pozamykano; tylko dwa lub trzy powozy moich znajomych przejeżdżały do kasyna.

Wkrótce stanąłem na przedmieściu. Nieszczęście było okropne, widok wspaniały. Cztery lub pięć dachów miotało w niebo kłęby płomieni i dymu; a obok téj okropnéj sceny oświécała uroczysta jasność całe wybrzeże, mosty i tysiące ludzi krzątających się śród największego nieładu i wrzawy. Mieszkańce zagrożonych domów wyrzucali meble swoje przez okna, lub unosili śród natłoku swe kosztowności do poblizkiego kościoła, który umyślnie otworzono dla nich. Długie szeregi mężczyzn, kobiét, dzieci, sięgające aż do rzeki, podawały wiadrami wodę aż do sikawek, których jednostajny łoskot przygłuszał wrzawę tłumu. Pośród ognia ludzie uzbrojeni siekierami odrębywali nadpalone belki, gdy tymczasem inni z wysokości sąsiednich domów kierowali syczące promienie sikawek w sam środek olbrzymiego ogniska.

— „Czy niewiadomo“ — spytałem jakiegoś poczciwca wielce zajętego — „czy niewiadomo, jak się wszczął ogień?“

— „Stawaj pan do szeregu!“ — odrzekł mi rubasznie.

— „Bardzo dobrze. Ale chciałbym wiedziéć....“

— „Kłaniam się panu.“

To gbur nielada — pomyślałem sobie — i zacząłem ubolewać w duchu nad nieokrzesaniem niższych klas społeczeństwa, tak pospolitém dzisiaj, że człowiek dobrze wychowany nieśmie w najgrzeczniejszy nawet sposób zagadnąć nikogo z przechodzących. Ale jakiś inny głos przerwał to rozmyślanie.

— „Héj! paniczu w białych rękawiczkach, do roboty! jest tu dość miejsca...!“

Urażony tą bezczelną poufałością, zwróciłem się w inną stronę.

— „Tutaj! tu! Sierżancie, napędźno tę laleczkę.“ Oburzony rzuciłem się na lewo.

— „Hola! tu, panie baronie!“

Nieposiadając się ze złości zwróciłem się na prawo.

— „Hultaju! jeżli nieweźmiesz się do roboty, nauczę cię zaraz pływać.“

Doznawszy tak okropnéj obrazy honoru, postanowiłem opuścić to haniebne towarzystwo i udać się wprost do kasyna.

— „Tu niepuszcza się nikogo!“ — krzyknął sierżant zamykając mi drogę bagnetem.

— „Pan się mylisz zapewne“ — rzekłem z dumą — „proszę spojźrzéć na mój ubiór i osądzić, czy zakaz ten może odnosić się do mnie. Ja idę do kasyna.“

— „Do kasyna! Trzysta piorunów! czy niewidzisz pan, że tu rąk niestaje? Daléj, marsz do szeregu!“

— „Przyjacielu, ostrzegam cię, że mógłbyś pożałować swego grubiaństwa. Niechcę się pytać o twoje nazwisko, ale ustąp się, natychmiast!“

— „Nazywam się Ludwik Marchand, jestem sierżant z piątego pułku strzelców, i nieboję się pana wcale. Daléj, do szeregu, bratku! Czyż to pan sądzisz, że ci poczciwi ludzie mokną w wodzie dla przyjemności?.... He, widzisz go — do kasyna by szedł, tańczyć może, kiedy słabe kobiéty narażają swoje zdrowie....“

W ciągu téj sprzeczki załamały się płonące dachy z okropnym hukiem, po którym nastąpiło grobowe milczenie, gdyż niezliczony tłum ludu, przerażony tym wypadkiem, przerwał na chwilę swoją robotę... Słychać było wyraźnie trzaskanie płomieni pomieszane z głuchym turkotem sikawki, która przybywała w téj chwili z odległéj od miasta gminy. Jakiś jeździec nadjechał śpiesznie i zawołał:

— „Odważnie! odważnie! przyjaciele, wkrótce opanujemy ogień.“ Natychmiast otoczyło go kilka osób, i słyszałem jak mówił do nich:

— „Ogień dostał się już do nowéj dzielnicy, i w téj chwili zajął się magazyn siana. Brakuje nam rąk. Troje ludzi zginęło!...“ Potem puścił się galopem i zniknął.

— „Daléj do roboty! — zawołano ze wszystkich stron — do roboty! ogień już w nowéj dzielnicy!“

Zostałem porwany od tłumu i wnet tworzyłem ogniwo jakiegoś niezmiernego łańcucha.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KOMEDYA.

DRAMAT

Apollona Korzeniowskiego.

(Z Biblioteki Warszawskiéj.)

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 21. 22. 23. Rozmaitości.)

Scena 2.

Lidia i Basia.

Basia *(troskliwie).*

Czego ty tak szlochasz?

Lidia.

Basiu! droga! poczciwa! Prawda, ty mię kochasz!?

Powiedz, że ty mię kochasz! O! ja zawiniłam!

Prawda, że ty mię kochasz?

Basia.

Nieraz dowodziłam,
Że cię kocham, jak siostrę. Cóż więc znaczą
(słowa?

Lidia.

O! zgrzeszyłam zwątpieniem!

Basia.

Pewno tylko głowa,
Ale nie serce grzeszne? Czegoż łzy te przecie?

Lidia.

Basiu! mnie się wydało, żem sama na świecie!
Że przed żadném tu sercem powiedzieć nie mogę,
Obecnéj, dziwnéj chwili, nadzieję i trwogę!
Zapomniałam o tobie.

Basia.

Nie bałaś się Boga?
Ale cóż to jest, powiédz?

Lidia.

Siostro moja droga!
Powiém ci, co mi z serca gwałtem się wyrywa;
Tobie jednéj.

Basia.

Mów przecie!

Lidia.

Ja bardzo szczęśliwa!
Bardo, bardzo, o! bardzo!

Basia.

Lube, drogie dziécię!
Ależ o co to chodzi?

Lidia.

Ty jedna na świecie,
Ty piérwsza to posłyszysz. Teraz dobrze widzę,
Jak ja byłam niewdzięczną i sobą się brzydzę!
Od lat trzech ty mi jedna napełniałaś sobą
Tę próżnię tak okropną, okrytą żałobą,
Po méj najlepszéj matce! Komuż, gdy nie tobie
Mam się zwierzyć? Wszak prawda, że ja dobrze
(robię?
O! piérwszéj tobie mówię, ufna w téj czułości,
Tę szczęścia tajemnicę, słowo méj miłości!

Basia *(ściskając Lidią czule).*

Nawet ci nie dziękuję; bo tak być powinno!
Twém szczęściem, ja szczęśliwa.

Lidia.

Pamiętasz dziecinną,
Dawną naszę rozmowę? Będzie już pół roku.
Nie pamięta! przypomnij! To było o zmroku.
Zaczęłam marzyć głośno, z niejasnych słów
(brzmienia,
Ty odgadłaś dorazu, duszy méj pragnienia.

Basia.

Przypominam. Rzecz wcale nietrudną mi była.

Lidia.

Ja zmieszałam się, zbladłam: jakbym zawiniła
Najcięższéj. Ale wierz mi: w owéj jeszcze dobie
Uczucie rozkwitało w samém tylko sobie.
Nie kochałam nikogo, kocham — nic więcéj!
Dusza roiła coraz silniéj i gorącéj;
Zmieniłam się zupełnie. Straciłam ochotę
Do wszystkiego na świecie. Samotność, tęsknotę,
Ceniłam nad gwar zabaw. Tylko z powinności
Codzienném życiem żyłam; lecz z rzeczywistości
Nic nie czułam. A pragnąc marzenia me badać,
Słyszałam ich głos luby, nie śmiąc odpowiadać!
Lecz wszędzie były ze mną: tu, przy sercu, blizko.

Basia.

Widziałam to. A dowód: że ci i nazwisko
Tych marzeń podszepnęłam!

Lidia.

Basiu! Wstyd mi siebie!
Lecz podobno nazwisko wiedziałam bez ciebie!
(po chwili milczenia)
Śród tych snów i tych widzeń, co spływały na
(mnie,
Było jedno, nad wszystkie niebezpieczne dla mnie!
Bałam się go, a ciągle chciałam mieć przy sobie!
Rysy jego we wspomnień, albo przeczuć dobie
Utworzyłam w méj myśli! Dumne, z troski cie-
(niem
Rozjaśniały sie w pokój pod mojém spojźrzeniem!
Oczy jego mówiły, że w nim połączone
Dobroć, szlachetność życia i myśli natchnione:
Wszystko, czém żyje serce kochanki, niewieście!
Ale na czole jego snuły się boleście
I gorzkie i posępne! Ja miałam nadzieję
Że te bole uśmierzę, te chmury rozwieję
Siłą miłości mojéj! Kiedy dotykała
Jego ręka méj ręki, dusza zamierała,

A serce stygło we mnie! O! teraz, to bije!
Słuchaj: postać snów moich wykochanych żyje!
Kocha mię! Wyznał mi to! Myślałam żem w nie-
(bie!

Basia.

A na imię mu Henryk?

Lidia *(całując Basię z uniesieniem).*

Jak ja kocham ciebie!

Basia *(na stronie).*

Otóż i katastrofa.

Lidia.

Jednego się boję:
Żem ja jego nie warta.

Basia.

O! dziecko ty moje!
Mówisz z gorączki uczuć. Kochasz go z zapa-
(łem;
Ale wierz mi: do niego tym miłości szałem
Nie przemawiaj, o! nigdy!

Lidia.

Jam jak niema stała!
Czy mniemasz, żebym jemu powiedzieć to śmiała?
Ale kiedyś.... lecz z czasem, każda chwila życia
Będzie znosić serc naszych tajemne pokrycia!
Uczucia nasze w losów harmonii się spłyną,
I będziem jedną myślą i duszą jedyną!
Dla mnie, wiem: nic się więcéj w nim nie rozo-
(błoczy,
Czegobym nie odgadła w téj chwili uroczéj.

Basia *(smutnie, półgłośno).*

Biédne dziécię!

Lidia.

O! Basiu! Wszakże to okrutnie,
Gdy ja taka szczęśliwa, ty patrzysz tak smutnie!
Co to jest, siostro droga?

Basia.

Siostro? Czyli szczerze
Wierzysz, żem siostrą tobie?

Lidia.

Czy ja temu wierzę?
Wynajdź mi imię, które więcéj czule, rzewnie,
Odmaluje myśl moję, a dam ci je pewnie!

Basia.

A więc najczulsza siostra, z prawa przywiązania
I świętéj troskliwości, radą cię osłania.
Znam ludzi, znam Henryka, o! od ciebie wcze-
(śniéj!
Za naukę tę płacić potrzeba boleśnie!
Nie chcę, byś poczynając ledwo życia drogę,
Opłacała to sercem, co ja ci dać mogę
Darmo! Słuchaj mię Lidio!

Lidia.

Ach! cóż to byé może?
Mię dreszcz zimny przejmuje.

Basia.

Nie trwóż się! Mój boże!
To rzecz zwykła na świecie, stare ludzkie dzieje,
Nic! Marzenia w proch wbite, rozwiane nadzieje,
O! za mało latami odbiegłaś od nieba!
Za to że raj pamiętasz, wiele cierpieć trzeba!
Mniemasz, patrząc w twą duszę, że świat tak wy-
(gląda?
Nie, Lidio! On miłości, uczucia, nie żąda!
Wiészże męzkich zabiegów ostateczne słowa?
Szczęśliwie, gdy majątek! Dla ciebie rzecz
(nowa,
Lecz wiédz, jak się to dzieje. Kiedy już z mło-
(dości
Nic im nie pozostało; gdy świętéj miłości
Dźwięki, słowa, uczucia, marnie roztracili;
Gdy brzydzą się już sobą i wszystkiém wzgar-
(dzili;
Gdy z cudownego duszy młodzieńczéj ukrycia
Wywlekli wszystko piękne, w błotną bezdnię
(życia
Rzucili, jak splamione i podarte szmaty:
Wtedy, starcy uczuciem, chociaż młodzi laty,
Gdy już kochać nie mogą, żenią się z rachuby!
O! ty tego nie pojmiesz, aleś blizka zguby!

Lidia.

Basiu! Basiu, słów twoich nie rozumiem wcale,
Ale mi smutnych przeczuć płyną w serce fale!
Gorzki wyraz twéj twarzy i wzgardy spojźrzenie
Jasno mówią: że śmiercią takie doświadczenie!
Ja nie chcę doświadczenia co mi życie struje!
Zlituj się, droga Basiu!

Basia.

Wszakże się lituję,
Gdy ci mówię, jakiemi miłość idzie szlaki!

Lidia.

Czuję coś okropnego!

(po chwili milczenia)

Lecz jeźli on taki,
Jeżeli w nędzy życia, jak w chłodnéj mogile
Pogrzebał uczuć siły: mam miłości tyle,
Że na dwojga wystarczy! Dam mu serce moje:
Kiedy przy nim uderzy, nowych uczuć zdroje
Wypłyną z tego życia, które szczęściem wskrze- (szę!
Ja go wzniosę, ożywię, uzacnię, pocieszę!

Basia *(na stronie).*

To zła droga! poczekaj!

(głośno z ironią)

O! to jego są słowa!

Lidia *(smutnie zdziwiona).*

Zkąd wiész, że on to mówił?

Basia.

Znana mi ta mowa!
Umiał ci to powiedzieć, gdy szło o majątek.
Czy ty wiész, żeś bogata?

Lidia.

Ależ on, wyjątek!
On nie taki, jak wszyscy!

Basia.

On za wszystkich stanie!
Wybrnąć z płaskich poziomów, to jego zadanie!

Lidia.

Ależ wiész sama Basiu: życie jego pracą,
Godną, jak każda praca!

Basia.

Którą dobrze płacą!

Lidia.

Ale ja jego kocham!!

Basia.

Dlatego-to właśnie,
Jak siostra przywiązana, wyraźnie i jaśnie
Musiałam przestrzedz ciebie: że twoje pieniądze
Jedynym celem jego. Wierz mi, że nie błądzę,
Tak sądząc z przekonania. Lidio! pomyśl sobie:
Okropny los cię czeka!

Lidia.

Cóż poczę, cóż zrobię?
Kiedy go kocham, kocham!

Basia.

Olśnił cię kłamstwami,
Które opłacisz kiedyś swych zawodów łzami!
Gdy dojdziesz tego kresu, zkąd wrócić nie można;
Gdy poznasz, jak ta miłość była wątła, próżna;
Gdy dusza twa zamierać będzie śród boleści,
Na widok samolubstwa, które ujźrzysz wreszcie:
Oszalejesz z rozpaczy! O! nie znasz człowieka!
Bój się go: los okropny przy nim ciebie czeka!

Lidia.

Ja boję się, drżę cała, ale kocham jego!
Basiu! Jeźli mój posag tak cenny dla niego,
Tém lepiéj, jedno więcéj źródło mu przynoszę
Do szczęścia, do dobroci! Szlachetne rozkosze:
Mieć w ręku wsparcie biednych, będzie miał ode (mnie!
Wszystko winien mi będzie!

Basia *(na stronie).*

I to nadaremnie!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zaprowadzenie w Paryżu i Londynie komunikacyj wewnętrznych za pomocą kolei żelaznych, tak jak to wprowadzono w wielkich miastach Stanów Zjednoczonych, nie jest wykonalném z powodu niesymetryi i wązkości ulic. Że jednak komunikacya szybka potrzebna tu więcéj niż gdziekolwiek, postanowiono budować koleje podziemne. Angielski parlament uchwalił już bil koncesyi na budowę kolei podziemnéj pod Londynem, nazwanéj *Metropolitan railway*, któréj wykonanie rozpocznie się niezwłocznie.

Długość téj kolei wynosić będzie około półpiętéj mili. Pójdzie od stacyi Great-Western aż do piwnic administracyi pocztowéj. Co pół mili będą stacye, w punktach na ktorych krzyżują się i korespondują omnibusy kursujące po mieście. Pociągi odchodzić będą co pięć minut od 8 do 11 rano, i od 3 do 6 wieczorem; prócz zwyczajnych, chodzić mają pociągi dodatkowe. Koszta *Metropolitan railway* wyniosą 30,000,000 franków. Kompania londyńska kolei północnéj dostarczyła połowę tego kapitału, drugiéj połowy zażądano od publiczności, i zebrano takową przez subskrypcyą w nader krótkim przeciągu czasu.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.**

Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.